

MARCIN BAŁCZEWSKI

# Tajemnice skarpet Waldemara Jondka

Fenomenalny, nierzeczywisty, przełomowy. Zbiór opowiadań *Tajemnica skarpet Waldemara Jondka* to przykład niezwykłości języka polskiego, a zarazem jego możliwości. Z jednej strony ascetyczny, z drugiej – rozbuchany metaforycznie utwór należy do kanonu literatury rodzimej wydanej po drugiej wojnie światowej.

Już w pierwszym z tekstów autor, Stanisław Wolanda (1899–1977), ukazuje kunszt narracyjności – *Na szlaku pulsujących rzeź* jest nieokleśnianym zderzeniem z transcendentną ontologią oniryzmu. Pisarz z niezwykłą konsekwencją buduje, a zarazem dekonstruuje rzeczywistość literacką, podobnie jak i swoich bohaterów, z Waldemarem Jondkiem na czele. Całość uwypuklono przez racjonalne i konsekwentne wykorzystywanie synekdoch i elips, pęczniejących na każdej z kolejnych kartek tej nieszablonowej opowieści.

Warto tu przytoczyć tekst zawarty w „Pamiętniku Literackim” (7/1976): „Stanisław Wolanda w wywiadzie powiedział, że pierwowzorem postaci Waldemara był jego kuzyn Włodzimierz. Nieśpiesznie mu jednak było kuzynowi o tym powiedzieć. Ten, początkowo wzdrygając się, z czasem cały entourage zaakceptował. – Jakże pocieszne były wzdrygi kuzyniątka – mówił Wolanda. – Jakby na kapuście usiał i wstać z niej nie mógł bezręcznie” (s. 33).

Trzeba rzec, że parabola opisana w dalszej części wspomnianego powyżej opasłego tekstu, do którego przeczytania wszystkich czytelników zachęcam, umacnia pozycję twórcy wizjonera. Nieszablonową postać polskiej dekadencji. Prekursora parasurrealizmu i metasymbolizmu. Konsekwentnie tworzącego wyobcowany, wysublimowany, oryginalny świat pełen nadrealistycznych, pełnych symboli postaci i miejsc, gdzie nie tylko pytania związane z epistemologią, ale również z aksjologią zderzają się wewnątrz. W dodatku ten prezentowany świat upiększany jest językiem w niespotykany dotychczas sposób i na niespotykaną skalę. Te wybijające opisy przestrzeni nadnaturalnej, te „wykrzykujące słoneczne rzodkiewie” to *elementum specificum* głosu artysty.

*Tajemnica skarpet...* oparta jest na dość prostym, z punktu widzenia Wolandy, zabiegu związanym z poszukiwaniami (tu należy wspomnieć zbiór esejów artysty *Poszukiwanie jako styk jedności*, w których wspominał o trójistnieniu narracji: poszukiwawczej, wewnętrznej i zewnętrznej). Tak jak Odyseusz szukał drogi do domu, tak Jondek w tytułowym opowiadaniu szuka skarpet, które nie mogły zostać i nigdy nie zostaną parą. Bezpośrednie odniesienie do ludzkiej egzystencji – poszukiwania drugiej połówki – u Wolandy nabierają metafizyki. Archetypem Jondka mógłby być zarówno Adam, jak i Rodion Raskolnikow ze *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego. Albo Harry Haller z *Wilka stepowego* Hermana Hessego lub Stanisław Wokulski z *Lalki* Bolesława Prusa.

Konsekwencja, z jaką artysta wizjoner tworzył świat przedstawiony, a także zarysowywał główne postacie dramatu, powoduje, że opowieści muszą i współcześnie budzić podziw i fascynację. Jego umiejętności językowe połączone z wiedzą na temat literatury frankofońskiej, nieznaną w Polsce w tamtych czasach, pozwoliły mu na korzystanie z chwytów, także w sferze języka, uznawanych przez pisarzy belgijskich. Należy pamiętać, że wciąż mamy do czynienia nie z powieścią, ale zbiorem luźnych opowiadań. Opowiadań tworzących artystyczną magmę przeciekającą przez dłonie każdego czytelnika i recenzenta. Z czymś, co można zaprezentować za pomocą schematu słonecznika – pewnej okrągłej całości składającej się z ziaren, w których znajduje się pramiązzs, a całość osadzona została na łodydze – symbolizującej pewien poziom racjonalizmu – umocowanej w pulchnej ziemi.

Antropomorficzna konceptualność Wolandy, który po przyjeździe w czasie studiów z Żyrdowa całe życie poświęcił kulturze warszawskiego Żoliborza, doprowadziła do pewnego *terrible concept* – którego autorstwo należy przypisywać Wolandzie – wprowadzonego w połowie XX wieku. Literatury jako elementu miodu. Miodu, który Wolanda wydobywał z pobliskich uli. Miodu, na którym zapisywał słowa, które wraz z nim roztopiały się na słońcu, a twardniały w ciemności. Miodu jako połączenia natury – żywotności – z ektoplazmatyczną stałością – śmiertelnością. Materii żywej kultury, świata ponadliterackiego i wewnątrztekstowego.

Niesamowity zbiór osobowości, a dosadniej rzecz ujmując, osobliwości, które poddane badaniom hermeneutycznym ukazują, jakże skomplikowane struktury drzemią w kolejnych opowiadaniach tego wybitnego artysty. Zarówno elementy strukturalizmu, jak i sentymentalizmu, to kolejne interpretacyjne klucze do zagadek zawartych w tym niezwykłym zbiorze.

Porównując Wolandę z innymi pisarzami tamtego okresu, czy to z Aleksandrem Chrusłem, Stanisławem Anną Stanisławskim, czy nawet samym Hieronimem Gilem, da się zauważyć, jak wielki wpływ na nich, nawet nieświadomie, mieli zarówno autor *Tajemnicy skarpet...*, jak i jego pojęcie autoretundonbarracyjności. Konsekwentnie powracał do tego terminu w kolejnych latach, jednak kwintesencję można odnaleźć we wspomnianym tomie opowiadań. Jak sam wspominał w *Pamiętnikach 1925–1955*, pomysł na autoretundonbarracyjność, odnoszącą się do nieopisywalności zjawisk narracyjnych opartych na schematach zewnętrznych związanych z imiesłowami, pojawił się w jego głowie w trakcie jedzenia zupy pomidorowej, którą zmieszał z tradycyjnymi gołąbkami.

„Gołąbki z pomidorówką. Jakże to szarlatański pomysł. Jednak o gustach nie powinno się dyskutować, tylko je lkać i tkać” – wspomina Wolanda we wcześniej już przytoczonym tekście umieszczonym w „Pamiętniku Literackim”. I trudno się z tymi słowami nie zgodzić, a tym bardziej nie da się im zaprzeczyć.

Wolanda przez swoją twórczość, a w szczególności *opus magnum* – *Tajemnicę skarpet Waldemara Jondka*, jednoznacznie objaśnił to, co do tej pory było nieopisywalne w literaturze polskiej. Także w sferze antytabuizmu i utylitaryzmu. Był metaprekursorem wszystkiego, można powiedzieć: praojcem literatury drugiej połowy XX wieku. Ojcem surowym, ale i sprawiedliwym. Z pokorą przyjmującym swoje dzieci i wysyłającym je w świat niezłym jaskółki nowej, współczesnej sztuki.

Struktury traumatyczne wewnątrz opisów czy krystalizujące się zderzenia onomatopieczne nie postawiają czytelnika obojętnym i biernym. Bo odbiorca słów Wolandy musi być człowiekiem aktywnym intelektualnie. Jego sferyczność kontekstowa, całościowe ujmowanie nauk paraścisłych i nadhumanistycznych bez odpowiedniego podkładu wiedzy okazać się może zabiegiem niezrozumiałym dla przeciętnego zjadacza chleba.

Kolejne opowiadania: *Czwili czy czyk*, *Słone paluszki*, *Moja jednostka*, *Moja wielostka* i *Długoślad* ukazują niezwykle nacechowanie wspomnianymi miodnymi pierwiastkami antropomorficznymi, a zarazem metaprzyszłościowymi słów i znaczeń. Kolaże w sferze języka – treści i formy – budują własną metanarrację, którą Wolanda z zaciętrzewieniem burzy kolejnymi strofami wyjętymi wprost z cywilizacji Zachodu.

To niezwykle, że ten niespełna stustronicowy tom opowiadań do dziś jest kanonicznym źródłem wiedzy o kulturze i języku polskim. To fascynujące, że do tej pory przetłumaczono go na ponad dwieście języków i wydano w przeszło trzystu krajach. Jondek nie znalazł i nie znajdzie swoich dopasowanych skarpet. Wolanda znalazł klucz do zaistnienia, stworzenia literatury totalnej, twórczości, metaliterackich peregrynacji, nadobszarowej akceptacji, która stworzyła idealistyczny model popkulturowego jaja konceptualno-konformistycznego w świadomej rzeczywistości dnia codziennego.